



monika
rakusa
39,9

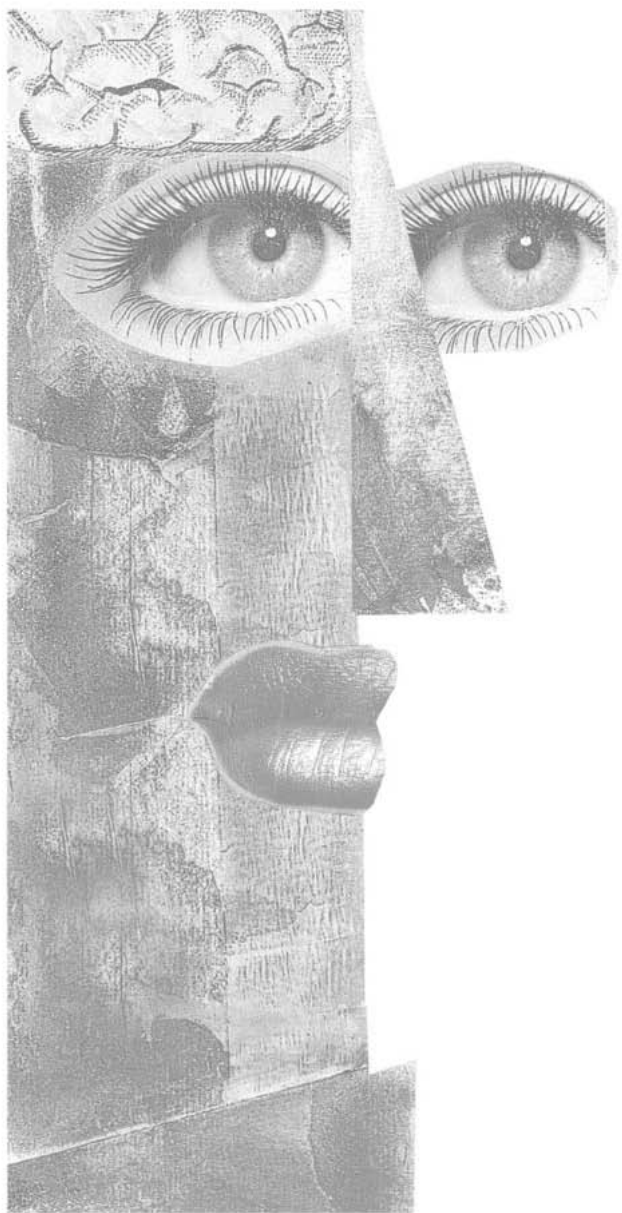


Monika Rakusa

(ur. 1966) – psycholog społeczny,
dziennikarka.

Studiowała filologię polską
na Uniwersytecie Warszawskim
i psychologię w Wyższej Szkole
Psychologii Społecznej.

Pisze pracę doktorską w Polskiej
Akademii Nauk. Mieszka
w Warszawie, ma dwoje dzieci.
39,9 to jej debiut literacki.



SERIA Z MIOTŁĄ



Christine Angot

Kazirodztwo

Majgull Axelsson

Dom Augusty

Maryse Condé

Ja, Tituba, czarownica z Salem

Petra Hůlová

Czas Czerwonych Gór

Grażyna Jagielska

Fastryga

Alona Kimchi

Płacząca Zuzanna

Melania Mazzucco

Tak ukochana

Marsha Mehran

Zupa z granatów

Mian Mian

Cukiereczki

Jaclyn Moriarty

Mam łóżko z racuchów

Helen Oyeyemi

Mała Ikar

ZZ Packer

Pijąc kawę gdzie indziej

Halina Pawłowska

*Zdesperowane kobiety
postępują desperacko*

Grażyna Plebanek

Dziewczyny z Portofino

Przystupa

Pudełko ze szpilkami

Ena Lucía Portela

Sto butelek na ścianie

Sonia Raduńska

Białe zeszyty

Kartki z białego zeszytu

Ahdaf Soueif

Mapa miłości

Oksana Zabuzko

Siostró, siostró

monika
rakusa
39,9

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2008
Wydanie I
Warszawa 2008

1 stycznia

Dzień postanowień

Do moich czterdziestych urodzin powinnam: schudnąć znacznie ale mimochodem bo za bardzo skupiam się na sobie i chciałabym też sprawdzić czy mogę jeszcze działać na mężczyzn a kiedy to sprawdzę musi mi przestać na tym zależeć żeby za bardzo nie skupiać się na mężczyznach i muszę przestać być naiwna a równocześnie mieć większe zaufanie do świata i do mojego męża który jest dobrym człowiekiem i wcale niekoniecznie zamieni mnie już niedługo na swoją przeraźliwie młodą sekretarkę a gdyby zamienił to nie przejmować się ostatecznie przecież gramy z sekretarką w zupełnie innych ligach i muszę z godnością skończyć te czterdzieści lat a równocześnie postarać się wyglądać młodziej choć powinnam także w końcu dojrzeć i równocześnie nie czuć się tak bardzo stara i tak jakbym swoje życie przeżyła już ze sto razy tym bardziej że życia

szczęśliwie nie można przeżywać sto razy ani nie-
szczęśliwie czego oczywiście żałuję choć z drugiej
strony jakież to musiałyby być męczące i powinnam
przestać być ciągle zmęczona i smutna bo jak będę
taka smutna a nie mam najmniejszego powodu to
zemści się na mnie Niebo i moje dzieci szczególnie
Antka ale Klarę też na pewno – odpukać – spotka
coś bardzo złego a to wszystko za karę bo jest mnie
za co karać i muszę przestać być taka przesądna
bo przecież nie ma oczywiście żadnego nieba i na-
wet przeznaczenia nie ma więc powinnam wreszcie
zgodnie z moim światopoglądem który jest zde-
cydowanie zbyt mało sprecyzowany jak na osobę
w tym wieku przestać w chwilach nadmiernej
i głupawej szczęśliwości której we mnie jest stanow-
czo ale to stanowczo zbyt mało choć z drugiej strony
dążenie do szczęścia to absurdalny wymysł nowych
czasów więc nie powinnam czuć się tak jakby mnie
niebo wybrało bo niebo nie wybiera nikogo a tym
bardziej mnie choć to nielogiczne ale równocześnie
prawdziwe i muszę być bardziej logiczna i zarazem
trochę mniej logiczna tak żeby nie utracić reszty
złudzeń bo przecież nie wierzę wprawdzie w ludz-
kość ale w człowieka wierzę więc zgodnie z tą wia-
rą powinnam nie zgadzać się z tym przeraźliwym
stwierdzeniem z którym się całkowicie zgadzam że
świat to jedna wielka restauracja i muszę być mniej
sentymentalna bo to się kłóci z moimi poglądami
które zdają się odrobinę niespójne i naprawdę in-
telektualnie nie zgadzam się z własnymi emocjami
kiedy wzruszam się na otwarciu olimpiady i wie-
rzę w ludzkość i pokój między narodami ale już
bezwzględnie ale to bezwzględnie powinnam po-

magać ludziom którym nie pomagam ale pomagac tak zeby moja lewica i tak dalej i nie powinnam tego robic ani dla siebie ani dla wiary ktorej nie mam i powinnam nie skreslac dni w kalendarzu tak jakbym wierzyła że życie się jeszcze zacznie bo co się ma właściwie zacząć i powinnam być lepsza dużo lepsza i nie tracić wiary w siebie jeśli temu wszystkiemu nie sprostam bo przecież możliwe że nie sprostam a muszę się akceptować taką jaką jestem i równocześnie nie ulegać sobie w żadnym razie i na razie to w ogóle nie chce mi się wstawać z łóżka bo może za dużo wypiałam ale to przecież był sylwester i wciąż za dużo palę ale muszę palić bo inaczej przytyję a powinnam schudnąć...

2 stycznia

Dzień ostrego słońca

Ranek. Światło pomnożone taflą zmrożonego śniegu. Słońce pożera śnieg i wydala światło, wypłuwa światło – hektoluksy światła.

Ściana naprzeciw łóżka, jeszcze wczoraj zupełnie przyzwoita – teraz obnaża wszystkie bruzdy, maźnięcia, plamy i tłuste łapy...

Staję. Zdejmuję koszulkę, a za przeciwnika mam lustro. Osąd będzie bezstronny.

Włosy – przeredzone nieznacznie, spod farby u samej nasady wyziera mysy bezkolor, zmarszczki – nerwowe i cienkie nad nosem i w kącikach oczu, brwi – już nie tak regularne jak kiedyś, policzki z wgnieceniami poduszki, na nosie i wokół pęknięte naczynka, czerwonawa skóra, a właściwie

jakaś nieznana na niej nadtkanka, jakieś nowe pieprzyki, piegi, kilka plam, pod brodą niewielkie coś, na czymś kilka krostek, dekolt i szyja – bez szczególnych punktów karnych, może jedynie za lekką nadobfitość, piersi – niesymetryczne (ale to zgodne z regulaminem), zbyt duże i jednak wiszą, poprzecinane bliznami po kolejnych postanowieniach odmiany, sutki – jakby znowu większe, brzuch (to zbyt bolesne – może się jednak wycofać), a więc brzuch – a właściwie dwa – górny i dolny – oba miękkie, białe, prawie sinawe, jakieś drobne wypryski, na niższym poziomie rozstępującej się skóry (pierwsza ciąża), niżej na granicy włosów (które nie wiedzieć czemu nie układają się w kokieterijne zapraszam) blizna, ciągle zaczerwieniona z nieregularnym wzniesieniem po lewej stronie (drugi poród), na plecach wielki szew po operacji (skolioza), pośladki i uda z cellulitem (druga grupa), nogi – stosunkowo nieźle, bo pozostały długie, ale nad kolanami niewielka oponka i uda już nie szczupłe. A stopy? Masakra.

Przegrywam – werdykt jest nieodwołalny.

Co robić z ciałem, kiedy staje się karykaturą ciała?

Co zrobić z sobą, kiedy stanę się karykaturą siebie?

Ostre słońce należy się młodym,
wyołbrzymia defekty,
wyostrza kontury,
tworzy proste podziały,
zagrzewa,

rozbudza,
czasem fantastycznie oślepia...

Dla takich jak ja pozostają już tylko toleran-
cyjne
przedwieczorne,
retuszujące
półcienie.

3 stycznia
Dzień na Syrokomli

Pokoje były cztery: mamy, stołowy, dziadka i mój, urządzone na półkolistej werandzie, częściowo przeszklonej, z oknami na zdziczały ogród.

W każdym z pokoi było się inaczej. Na werandzie byłam „dzienną” dziewczynką. Pamiętam ciemnozielony wózek z budką, lalkę Dorotkę, małą kuchnię, małego lekarza i domek dla lalek. Na werandzie bawiłam się z koleżankami, także z Małgosią, która rządziła w przedszkolu, a ja podziwiałam ją i bałam się jej.

Z werandy przechodziło się bezpośrednio do pokoju mamy. Pokój mamy to było popołudnie bez mamy. W pokoju mamy byłam dorosłą kobietą, aktorką albo księżniczką oczywiście. Odwracałam bujany fotel i kroczyłam po stworzonych w ten sposób schodach w rajtuzowych warkoczach na głowie. W pokoju mamy stał adapter – szaroniebieski, obciążony skajem, z żółtobeżowym głośnikiem. Adapter był najważniejszym przedmiotem w całym domu i jeszcze płyty: *Kopciuszek*, *Hanka Ordońówna*, *Czy pani mieszka sama* – antologia przedwo-

jennyh szlagierów, Janusz Gniatkowski, Marlena Dietrich. Język tych płyt opanowałam perfekcyjnie, zanim nauczyłam się polskiego. „Ich bin fon kopf bis fus auf libe aingesztelt den das is maine welt und zonst garnichts”, „sam mi mówileś, że w moich oczach miłość gości... dlaczego dziś już nie prosisz...”, „wystarczy kilka słów i koniec już”, „tylko słuchaj pamiętaj na deszcz ten szalik noś...”, „śpiesz się, śpiesz, mój kwiatuszku, nie ma czasu niestety, trzeba zamknąć drzwi od karety i zakończyć baśń o Kopciuszku” – to wszystko frazy mojego ojczystego języka. Semantyka tej mowy całą swoją ckliwą żarliwością przekonywała, że kiedyś „to” się spełni, choć spełnić się nie może. Kluczem do „tego” będzie „miłość” wymawiana z „ł”, którego poza pokojem już nie ma. Wiedziałam też, że do „tego” potrzebne jest stworzenie nieznanego, absolutnie tajemniczego i nazywanego „mężczyzną”. W pokoju mamy było się bowarystką.

Do pokoju stołowego z pokoju mamy prowadziły rozsuwane drzwi, zastawione szafą. Trzeba więc było wchodzić z przedpokoju. W pokoju stołowym stał telewizor i było się wieczorami. Mamy nie pamiętam, a dziadek oglądał *Sagę rodu Forsyte'ów* i *Kabaret Starszych Panów*. W pokoju stołowym dostawałam na kolację krwawy befsztyk z zieloną sałatą i mocną herbatę. Pokój stołowy regularnie nasmiewał się z pokoju mamy. Pamiętam dziadka, jak przeciągając i zawodząc, śpiewa: „I znów mnie będziesz biłł tej nocy, aż skooonam w krzyku, lecz iść od cieeebie nie mam sił, ty psie nędzniku”. To było bardzo śmieszne, tak śmieszne jak Starsi Panowie. Nie rozumiałam ani słowa, ale czułam, jak rodzi

się we mnie wielka potrzeba dystansu. W pokoju stołowym usłyszałam też, że „po śmierci niczego już szczęśliwie nie ma, a jeśli by nawet było, to ateizm nie pozwoliłby uwierzyć”. W pokoju stołowym było się ironicznie.

Pokój dziadka był nocą. Z oknami wychodzącymi na ulicę. Pamiętam półmrok zapewne od światła latarni i rzadkie świetlne cienie przesuwających się samochodów. W pokoju stało wielkie biurko, na nim oprawione zdjęcia. Unosił się w nim kojący zapach starszego pana. Przychodziłam tam, gdy się bałam. A bałam się często: Małgosi z przedszkola, i „tego”, co się nie spełni, a już najbardziej owego nic, które po śmierci. W swoim pokoju dziadek stawał się czuły, choć nigdy nie pytał, co mnie przestraszyło. Czasem zapalał lampkę i czytał baśnie Andersena. Właściwie jedną, bo zawsze prosiłam o *Dziewczynkę z zapałkami*.

Myślę dzisiaj o jego naiwnej wierze w kojącą dla mnie wizję babci, z którą dziewczynka odchodzi do sprawiedliwego i miłosiernego Boga. Jakże się mylił. Paradoksalnie uspokajało mnie tylko przecucie bezsensu, własne łzy i ręka dziadka sunąca po włosach z namaszczeniem – ostatnim. W końcu zapadałam w ciemność, żeby następnego dnia obudzić się jako mała dziewczynka.

4 stycznia

Dzień Wielkości

W moim domu byliśmy Żydami, jak Freud i Einstein, mama chorowała na Heinego i Medina, jak Roosevelt i Komeda, a ja miałam urodę Shir-

ley Temple i chciałam zostać aktorką – jak Sarah Bernhardt.

Kiedy skrzywił mi się kręgosłup, byłam Pawlikowską-Jasnorzewską, kiedy okazało się, że mam nieproporcjonalnie długie nogi, usłyszałam o nogach Marleny Dietrich.

Próbowałam pisać wiersze – porównywano mnie z Tuwimem, przy okazji pierwszych próbek prozy dowiedziałam się o Romain Garym.

Dostawałam wielokrotnie Pulitzera, Nobla, Oscara, nagrodę Goncourtów, a nawet Virtuti Militari. Mój nieurodzony narzeczony był Carlo Pontim (a ja okazjonalnie Sophią Loren), mój urodzony mąż Paulem Newmanem.

I co mi pozostało? Mam epilepsję jak Dostojewski, znak zodiaku Mariny Cwietajewej, palę jak Cohen, czuję się wyobcowana jak Sylvia Plath. Cierpię na obsesję starzenia się Rity Hayworth.

Zawsze jeszcze mogę dostać obłądu, jak Krzysztoń, zachorować na parkinsona, jak papież, lub na alzheimera, jak Reagan, popełnić samobójstwo, jak Kosiński.

I tylko umrzeć mogę jak każdy...

5 stycznia

Dzień, w którym się trzeba ukryć, ale trzeba też być dumnym.

– Pamiętaj, żyjesz w tym kraju.

– Więc nigdy nie przyznawaj się do swojego pochodzenia!

– Prędzej czy później wykorzystają to przeciwko tobie!

- Po co ty się z tym obnosisz?
- No, oczywiście, że nie ma się czego wsty-
dzić.
- Nie ma się też czym chwalić!
- Po co powiedziałas o tym przyszłym teś-
ciom?
- Tutaj wszyscy są antysemitami.
- W naszym domu nikt nigdy nie mówił
w jidysz.
- Nie mamy nic wspólnego z tą religią!
- To była całkowicie zasymilowana ro-
dzina.
- Nie mamy nic wspólnego z tymi z Nale-
wek.
- Ani z tymi z pejsami!
- Dziadek nigdy nie chciałby mieszkać w Izrae-
lu ani nawet tam jechać.
- Twój dziadek nie żydłaczył.
- No, chyba że opowiadał szmoncesy.
- Przed wojną twoi dziadkowie przyjaźnili
się ze Skamandrytami.
- Twoja babcia to była prawdziwa dama, a nie
jakaś żydowska gosposia!
- Twoi dziadkowie mówili po polsku lepiej
niż większość Polaków.
- Twój dziadek znał na pamięć całego Słowac-
kiego!
- Nie ma nic gorszego niż polski chłop.
- Twój dziadek był poliglotą i erudytą.
- A po rosyjsku i niemiecku mówił jak po
polsku.
- Niemcy – to jest prawdziwie wielka kultura!
- Wszyscy muzycy to Niemcy!

- Wszyscy filozofowie to Niemcy!
- Cała literatura to Niemcy i Rosjanie.
- Pamiętaj, że nie wypadłaś sroce spod ogona.

- Może inni tak robią, ale TY nie jesteś inni!
- Marnujesz czas na głupie rozmowy przez telefon.

- Zamiast czytać!
- Nie chodzi o takie jakieś książczydła.
- Tylko o prawdziwą literaturę!
- Trzeba mieć kulturę jedzenia.
- Nie zapominaj, kim jesteś!
- Możesz wszystkim udowodnić...

Zaprawdę, zaprawdę byliśmy wielką rodziną, rodziną doskonałą, wykształconą, światłą, prawdziwie polską i europejską zarazem – rodziną, na którą pracowały pokolenia.

Nasza wielka rodzina nazywała się Kowalscy, a protoplastą wielowiekowego rodu był Jan Kowalski urodzony nie wiadomo z kogo i nie wiadomo gdzie, najprawdopodobniej pomiędzy 1894 a 1898 rokiem.

6 stycznia
Dzień odesłania

Kiedy miałam 6 lat, mama postanowiła udowodnić dziadkowi, że świetnie poradzi sobie bez niego. Dlatego zostałam przeprowadzona z Syromkomi we Wrocławiu do Cieplic, a potem do Jeleniej Góry.

Proces udowadniania mama wygrała. Dziadek markotniał, a ona znalazła pracę i narzeczonego. Narzeczoney z kolei był prezesem spółdzielni mieszkaniowej „Świt”, więc mama znalazła mieszkanie.

Skutkiem ubocznym procesu okazało się to, że nie bardzo wiadomo było, co ze mną zrobić. Odesłanie do dziadka oznaczało fiasko całego przedsięwzięcia. Mama naprawdę nie miała czasu. Praca (trzy radcostwa), załatwianie, konieczność przetrwania i udowadnianie sobie, i wieczne szukanie odpowiedniego mężczyzny to było za dużo jak na jedną, nawet najbardziej ambitną osobę. Zostałam więc odesłana do ludzi, których nazwiska dziś już nie pamiętam. Mieszkali w pięknej willi w Cieplicach. Ich córka miała na imię Grażynka i jakieś 18–19 lat. Bardzo przywiązałam się do Grażynki, była moją drugą mamą. Ale wtedy z nieznanых powodów mama przeniosła się do Jeleniej Góry i tam zostałam odesłana do państwa Skorusów. Szybko zapomniałam o Grażynce, bo Skorusowie mieli córkę Iżę, która była starsza ode mnie o rok lub dwa i stałyśmy się dla siebie jak siostry. Skorusowie mieli też babcię, najprawdziwszą i dobrą. Babcia Skorusowa lepiła pierogi i stała się moją babcią. Zaś religia babci Skorusowej moją religią. Marzyłam o dniu Pierwszej Komunii.

W tym czasie umarł dziadek, a mnie trzeba było naprawić kręgosłup.

Zostałam więc odesłana na rok do sanatorium w Trzebnicy. Dorobiłam się funkcji przybocznej w zuchach i przesiąknęłam ideałami harcerskiej wspólnoty.

Trzecią klasę skończyłam już w Warszawie, a na czwartą zostałam odesłana do sanatorium dla dzieci górników im. Wincentego Pstrowskiego w Rabce. Kiedy wróciłam, mówiłam po śląsku.

Szóstą klasę kończyłam w Ciechocinku. Stałam się przyjaciółką wychowawczyni – pani Krystyny – i dowiedziałam się o życiu tego i owego. Wróciłam jako dwunastolatka, ale byłam już po rozwodzie. Wiedziałam, jakie jest życie i jacy potrafią być ludzie.

Potem były Chylice, gdzie stałam się paraplegikiem i miałam krzywicę kości.

Do liceum sióstr w Szymanowie zostałam odesłana, bo trzeba było naprawić mi charakter. Tam było kilka okresów: okres wygłupów – byłam naprawdę śmieszna, buntu – osiągnęłam w tym perfekcję, okres religijny – zakończony decyzją o wstąpieniu do zakonu.

W końcu odesłałam się na rok do Świebodzina na operację. Tam pokochałam panią Marię, do której nigdy później nie napisałam.

Jeśli odeślę się dziś do Australii, będę Aborygenem.

Jeśli na Marsa, skończę jako Marsjanin.

Jeśli zmęczy się mną przyjaciel, odeślę się do innego.

Mogę zmienić męża i upodobania.

Mogę zmienić orientację seksualną, jeśli się postaram.

Kim powinnam więc zostać, gdy dorosnę?

7 stycznia

Dzień wytycznych dla człowieka poczciwego

Byłam wychowana w wolności. Jedyne, czego po mnie oczekiwano, to abym została człowiekiem przyzwoitym. Być przyzwoitym oznaczało nigdy nie mówić o nikim źle i pozostać krytycznym. To znaczy nie walczyć o siebie, bo prawdziwa wartość zostanie doceniona, i nie zazdrościć tym, którym się udało. To znaczy także nie zgorzknąć i nie przeprowadzać prostych porównań. To znaczy mieć socjalistyczne poglądy, być egalitarystą i równocześnie nie zniżać się do poziomu pospółstwa. To znaczy w ogóle nie dzielić ludzi na gorszych i lepszych, ale nie zadawać się z byle kim. Nie wolno przy tym być snobem i hołdować mieszczańskim wartościom, ale należy mieć w domu masę staroci, sztuce po dziadkach i trochę porcelany.

To znaczy być skromnym i zawsze szczerym wobec siebie, to znaczy także nie popadać w przesadę i za bardzo się sobą nie przejmować. Być patriotą i być kosmopolitą. Nie być egoistą i egocentrykiem i nie dawać się wykorzystywać. Trzeba też pielęgnować własną wrażliwość i nigdy się nad sobą nie roztkliwiać. Trzeba mieć dumę i honor i walczyć o swoje sprawy. Trzeba mieć pasję i dystans. Trzeba nie marnować życia i nie wpatrywać się ciągle we własne odbicie jak jakiś narcyz.

8 stycznia

Dzień zwyczajny

Będzie żyła normalnie. Skoro zepsuł jej się samochód, to pojedzie do centrum metrem!

Wychodzi z domu. Przedtem przegląda się w lustrze. Uznaje, że wygląda zupełnie dobrze, czyli normalnie.

W metrze wszyscy się gapią. Wszyscy spoglądają, jakby wiedzieli! Ocierają się przy wejściu do wagonu. Nie przejmują się, bo od dziś będzie żyła normalnie.

Nie wytrzymuje na drugiej stacji. Wysiada i jak tchórz ucieka do taksówki. Siada z tyłu.

9 stycznia

Dzień litanii

Trzeba było powiedzieć, że to nie jej interes!

Albo lepiej obnażyć jej motyw!

Należało powiedzieć, że czepia się egoizmu,

Bo sama nie ma odwagi robić nic dla siebie.

Wszystkie tak!

Nie, nie dziękuję, o mnie się nie kłopotcz...

A potem chyłkiem wyżeranie z lodówki!

Albo wykradanie czasu!

Jak się to robi ostentacyjnie, to inne cię za-
dziobią.

Ofiary fali!

Egoistka, też mi coś!

Matka była prawdziwą egoistką!

Powiedziała tak specjalnie, bo wie, że to rani.

Ale z drugiej strony za mało robi dla swoich dzieci.

Zwłaszcza dla Antka.

Ale dla Klary też.

Nie jest dobrą matką!

Jest fatalną matką!

Musi natychmiast załatwić maść, bo skóra mu się pogorszyła.

Skoro domaga się więcej czasu!

To znaczy, że tego potrzebuje.

Ale z drugiej strony – jest matką taką, jaką umie!

Niech sobie idzie na psychoterapię, jak dorosnie.

Gdyby miała takie życie jak on, byłaby przezszcześliwa.

Nie załatwiła mu jeszcze zaświadczenia o dysgrafii!

On się nie dostanie do żadnej szkoły!

Co z nim będzie?

Choć tak naprawdę, to ciągle się do niego przyczepia!

Czemu nie zajmie się sobą?

Czemu ciągle zajmuje się sobą?

To musi być fatalnie być jej synem!

I ma panią do sprzątnia, a sama się wyleguje.

I nic nie robi.

Tylko czemu wszyscy jej siedzą na głowie?

Chciałaby zniknąć, albo wyjechać!

I powiedzieć tamtej, żeby się odwaliła!

Ale przecież tamta ma straszne życie!

A obok niej inna, która ma wszystko i tego nie docenia!

Niczego nie docenia!
Za karę to wszystko kiedyś pryśnie!
Rozleci się!
Chciałaby, żeby przysło!
Żeby się rozleciało!

Boże, co ja powiedziałam!

10 stycznia
1 września 1975

Dziadek zmarł. Mama zamieniła dom we Wrocławiu na mieszkanie w Warszawie na Służewcu Przemysłowym – dwupokojowe, ze ślepą kuchnią. Zawsze chciała wrócić do Warszawy. Była więc z tej zamiany bardzo dumna. Przeprowadzka miała miejsce latem. Córkę odesłała do ojca na wakacje.

1 września 1975 roku odbywa się powrót i początek III klasy w szkole im. Czerwonego Pułku Warszawy.

Rozpoczyna się z perypetiami. Ojciec mówi, że córka jest pod opieką znajomej pani i wysiadzie na Zachodniej. Okazuje się, że pociągi międzynarodowe w ogóle tam nie stają. Mama odnajduje ją w końcu na Wschodniej. Stoi sama z walizką i wydaje się bardzo spokojna.

Mama pyta, czy da radę pójść dzisiaj do szkoły. Córka oczywiście daje radę, a mama oczywiście jest dumna z jej dzielności.

Do szkoły spóźnia się. Wchodzi po kilku minutach chyba drugiej lekcji. Jest ubrana w bardzo

krótką spódniczkę. Zdaniem mamy dziewczynki należy ubierać w mini, bo to ładnie wygląda. Spod spódniczki wystaje krok rajtuzów. Wszystkie rajtuzy są na nią za krótkie. Ma szopę włosów i olbrzymie siekacze. Po pierwszej lekcji wychowawczyni prowadzi ją do dyrektorki.

– A to ty jesteś córką tej prawniczki o kulach – ton dyrektorki łączy zwykłą nieuwagę z pewnym odcieniem znanej już skądś litości.

Po drugiej lekcji jak zwykle jest cała umazana atramentem. Po trzeciej gubi długopis. Po wszystkim wydaje się jej, że dziewczynka w warkoczach pokazuje ją oczami tamtej drugiej z przylizanymi włosami. Że obie chichoczą.

Tysiąclatka stoi w centrum osiedla. Do domu blisko, więc wraca sama. W windzie udaje się jej odszyfrować napis „huj i pizda w nocy gwizda rano wstaje spać nie daje”. Czuje, że naprawdę przyszło nowe. Wie też prawdopodobnie, że musi się bardzo postarać.

11 stycznia

Dzień rozważań o inności

Na osiedlu Służewiec Przemysłowy chciałam zostać – kimkolwiek. Chciałam mieć babcię na wsi, chciałam mieć tatę, który pije i ogląda mecze, i mamę, która mężnie to znosi, jest gruba i stawiając siatki na ziemi, pogada kilka minut z sąsiadką. Nie chciałam przystępować do Komunii w piątej klasie, tylko w drugiej jak inni. Chciałam na pamiątkowym zdjęciu stać w środku, a nie sterceć ponad głowami w ostatnim rzędzie. Chciałam

mieć zeszyty z podkreślonymi tematami, zamiast bałaganu w tornistrze. Chciałam, żeby mama była w trójce klasowej. Chciałam, żebyśmy miały kolorowy telewizor. Chciałam należeć do klubu „Wiewiórka” i śpiewać w chórze. Chciałam, żeby mama zadowoliliła się talonem na samochód dla inwalidy i możliwością dostania bez kolejki dwudziestu pięciu deka szynkowej. Chciałam, żeby nie rzucała się w oczy. Chciałam zostać Anią Kasprzyk, Anetą Boruś czy Jolą Zalewską.

W okolicach szóstej klasy wiedziałam, że się nie uda. Byłyśmy kuriozalne i byłyśmy znikąd. Reszta podstawówki upłynęła mi na wymyślaniu takiej formuły inności, której nie będę się wstydziła i która mnie dobrze zakamufluje. Postanowiłam najprawdopodobniej, że będę miała styl – na tyle oryginalny, żebym umiała się w nim zmieścić, a równocześnie na tyle typowy, żeby już nigdy nie dręczyło mnie dławiące w gardle poczucie obcości i braku gruntu. Pisałam wiersze, rysowałam, uciekałam z domu, nosiłam żałobę po Lennonie, wielbiłam Wałęsę i zaczęłam słuchać Jacka Kaczmarskiego – ale wszystko bez przesady – tak, żeby żadna, najmniejsza część mnie niebezpiecznie nie odstawała od kreacji.

Oficjalne zostanie Żydem w pierwszej klasie liceum, potomkiem wspaniałej rodziny Pereców, a nie jakichś tam Kowalskich, mieściło się w nowym wizerunku.

Wyparłam się dziewczynki w gorsecie ortopedycznym, wyparłam się samotnej „prawniczki o kulach”.

Dzisiaj też wyprę się wszystkiego, co będzie przeszkadzać w uzyskiwaniu błogosławionej akceptacji wszystkich otaczających mnie luster.

12 stycznia

Dzień planowania

Antek wyjechał ze swoim ojcem na ferie w góry.

Postanowiliśmy też wyjechać z Klarką. Zarezerwowałam pokój u Kielanów. Wyjeżdżamy dwudziestego trzeciego.

Było mi trochę przykro, bo Kielanowa nie zgodziła się na przyjazd naszej Boni. Że niby nie może przyjmować gości z psem w szczycie sezonu. Wiem, że „tych specjalnych” przyjmuje.

U Kielanów zawsze tak jest. Płaci się niemało, a żeby należeć do „starej, dobrej ekipy” i tak trzeba wykazać się co najmniej kilkupokoleniowym drzewem genealogicznym i rzeszą wspólnych znajomych.

Kiedy byłam tam ostatnio, podlizywałam się bez przerwy. Przypominałam sobie wszystkie nazwiska dawnych znajomych dziadków z Wrocławia, żeby w końcu usłyszeć pełne aprobaty:

– A Basia! A co tam z jej synem Pawełkiem? Ciągłe siedzi w Genewie?

13 stycznia

Kolejny dzień planowania

Wyobrażam sobie. Śnieg i słońce. Bieszczady w śniegu i słońcu. Spacerzy, narty, regularne posiłki. Po obiedzie drzemka i znowu narty.

Wyobrażam sobie, jak jest, kiedy się jest wolną od tego, jaką się jest!

14 stycznia

Dzień zakupów

Kupiliśmy dla Klary sprzęt narciarski. Mam teraz dziecko jak z reklamówki z życiem jak z reklamówki. Mama, tatuś, brat i pies. Zimą góry, latem morze, angielski w ciągu roku szkolnego. Błogosławiona norma.

15 stycznia

Dzień zerwania z tym, co dotychczas

Żadnej przeszłości, żadnego planowania.

16 stycznia

Pierwszy dzień oczekiwania – w którym organizuję sprzęt dla Wojtka.

17 stycznia

Drugi dzień oczekiwania – w którym organizuję sprzęt dla siebie i przekonuję się, przy okazji, że znowu przytyłam.

18 stycznia

Trzeci dzień oczekiwania – w którym sporządzam listę rzeczy, które będą nam jeszcze potrzebne.

19 stycznia

Czwarty dzień oczekiwania – w którym sporządzam dużo lepszą listę rzeczy, które będą nam jeszcze potrzebne.

20 stycznia

Piąty dzień oczekiwania – w którym jadę na zakupy i kupuję masę rzeczy, które wcale nie będą nam potrzebne.

21 stycznia

Szósty dzień oczekiwania – w którym zaczynam pakowanie.

22 stycznia

Siódmy dzień oczekiwania – w którym dokończam pakowanie i sprawdzam wielokrotnie, czy o czymś nie zapomniałam. A wieczorem wyjmuję wszystko z toreb i jeszcze raz sprawdzam.